

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Wszędzie mieszkają ciekawi ludzie.

Rozmowa z Joanną Sokołowską-Gwizdka o literackich i dziennikarskich fascynacjach oraz o najnowszej książce poświęconej teatrowi emigracyjnemu.



Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas XX Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie, fot. Jacek Gwizdka.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Czytając Pani książkę o teatrze emigracyjnym zastanawiałam się nad tym, co by było, gdyby pozostała Pani w Polsce i nie

wyjechała do Kanady, a potem do Stanów Zjednoczonych. Być może ta książka w ogóle by nie powstała albo też powstałaby jakaś zupełnie inna. Była Pani przecież znaną dziennikarką, a także pracownikiem naukowym UŁ...

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Mieszkając w Polsce byłam związana z uczelnią – pracowałam w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie zajmowałam się teatrem staropolskim. Bardzo lubiłam wejść w świat archiwów i tropić literacko-teatralną przeszłość, np. nigdy niepublikowane sztuki teatralne z początku XIX wieku, pisane przez dobrze wykształconego i utalentowanego nauczyciela dzieci Czartoryskich i Potockich, a później dyrektora Biblioteki im. Ossolińskich – Adama Kłodzińskiego. W Dziale rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu dotarłam także do oryginału wspomnień XIX-wiecznego pamiętnikarza, Franciszka Ksawerego Preka. Był niepełnosprawny i bardzo dużo pisał. Obracał się w środowisku arystokracji, bywał na różnych przyjęciach, a że był świetnym obserwatorem, pozostawił po sobie wiele interesujących opisów. Od niego dowiedziałam się, że sztuki, które wyciągnęłam z zapomnienia, widział sam Aleksander Fredro i mógł się na nich wzorować. Takie poszukiwania mnie fascynowały, bo czułam się jak detektyw.

Skąd zatem dziennikarstwo?

Praca na uczelni trochę mnie izolowała od ludzi, musiałam więc znaleźć taką dziedzinę, która by mi tę izolację rekompensowała. Dziennikarstwo było do tego celu idealne. Wyjeżdżałam na różne festiwale w Polsce i za granicą, poznawałam ciekawe historie i interesujących ludzi. Miałam dzięki temu kontakt z nowościami w dziedzinie kultury oraz z pasjonatami, którzy ją tworzyli. To doświadczenie różniło się od obcowania z literacką przeszłością, zamkniętą w archiwach. Praca na uczelni i dziennikarstwo uzupełniały się więc znakomicie.

Można by więc domniemywać, że gdyby napisała Pani swoją książkę w Polsce, dotyczyłaby tych teatralnych odkryć...

Zapewne tak. Zresztą, mam nadzieję, że taka publikacja powstanie. Otóż podczas promocji mojej książki o teatrze emigracyjnym miałam spotkanie na Uniwersytecie Łódzkim, które przygotowała moja dawna koleżanka z Katedry Literatury

Staropolskiej, prof. Maria Wichowa. Po latach wspominałyśmy dawne czasy i moją pracę na Uniwersytecie. Profesor Wichowa zaproponowała mi powrót do moich dawnych odkryć i postanowiłyśmy, że postaramy się o wspólne wydanie tych sztuk. Być może się uda.

Byłam także wielokrotnie akredytowana na Festiwalu Chopinowskim w Nohant we Francji i poznałam francuską biografkę Chopina, autorkę książki: "Chopin u George Sand. Kronika siedmiu lat". Sama byłam zafascynowana tym kompozytorem. Pisywałam codzienne relacje z festiwalu do "Rzeczpospolitej".

Może więc napisałaby Pani również biografię Chopina? Ale wróćmy do Pani książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” - skąd wziął się pomysł jej napisania?

Pierwszym impulsem, który sprawił, że zainteresowałam się tym tematem, było odkrycie, że jest to znakomita, profesjonalna scena. Miałam inne wyobrażenie o scenie polonijnej, sądziłam, że jest trochę "kulawa". Kiedy obejrzałam pierwszy spektakl **Marii Nowotarskiej** o Hemarze, byłam zaskoczona. Zobaczyłam wspaniałych aktorów, którzy jednocześnie cudownie śpiewają. Później dowiedziałam się, że są to profesjonalni aktorzy i śpiewacy, występujący na scenach kanadyjskich i to z wielkim powodzeniem. Potem chodziłam na wszystkie spektakle i pisałam pełne zachwyty recenzje. Propozycja napisania książki wyszła od twórców **Salonu Poezji, Muzyki i Teatru. Jerzy Pilitowski**, który był wówczas menadżerem tego teatru, zaproponował mi napisanie książki w bardzo uroczystych okolicznościach. Zbliżała się okrągła rocznica istnienia tej sceny, stąd myśl, aby tę -działalność utrwalić.



Maria Nowotarska w sztuce Kazimierza Brauna „American dreams”. fot. Stanisław

Cisek.

Jaki miała Pani pomysł na tę książkę?

Koncepcja powstawała w toku pisania. Zaczęłam od zebrania wszystkich recenzji, które powstały na temat spektakli tego teatru, a było ich dużo, gdyż scena powstała w 1991 roku. Nagrywałam też wywiady, które dziś są już zupełnie unikalne, ponieważ wiele osób już nie żyje. To jest blisko 270 godzin interesujących rozmów! Mąż Marii Nowotarskiej – Jerzy Pilitowski był architektem, umysłem ścisłym i dążył do tego, aby książka miała ściśle teatrolologiczny i dokumentacyjny charakter. Natomiast Maria Nowotarska chciała, aby to był bestseller i aby książka dobrze się czytało. Próbowałam połączyć te dwie tendencje, co było rzeczą bardzo trudną. W rezultacie powstało dużo więcej materiału, niż zostało opublikowane. Mogłaby więc powstać jeszcze jedna publikacja, *stricte* naukowa. A ponadto jest jeszcze wersja angielska, dopasowana do amerykańskiego odbiorcy.

Powstała zatem publikacja z wielkim rozmachem i o dużym potencjale.

Dlatego też był problem z jej wydaniem. Stąd decyzja, aby zdecydować się na wersję popularyzatorską.

A czy trudno było się Pani ograniczyć?

Ojej, było mi żal każdego zdania! Każde było okupione wysiłkiem, więc trudno się dziwić, że było mi szkoda (śmiech).

Teatr, który Pani opisała, zachował to "coś", co było wartością teatrów lat 70. i 80. Wtedy na scenie nie eksperymentowało się aż tak bardzo, ale był to teatr autorski, realizowany w oparciu o znakomite teksty.

Myślę, że zasługą **Marii Nowotarskiej** było to, że dobry krakowski teatr przeniosła na emigrację. Miała znakomite pomysły inscenizacyjne i sięgała po znanych autorów, przede wszystkim po wielką polską poezję. Odegrało to szczególną rolę w edukacji młodzieży. Przeprowadziłam w polskich szkołach ankietę, z której wynikało, że młodzi są dumni ze swego polskiego pochodzenia i że jest to zasługa teatru. Młodzież bardzo przeżywała przedstawienia teatralne – działały o wiele więcej niż sobotnie nauczanie w polskiej szkole.

Jaki był czas przygotowania takiego spektaklu i jak częste były premiery?

Przygotowanie spektaklu trwa wiele miesięcy, a premiery powstają mniej więcej raz do roku. Maria Nowotarska włącza w ich przygotowanie specjalistów z różnych dziedzin, którzy wyemigrowali do Kanady, gdzie często zajmują się czymś innym, a teatr staje się dla nich możliwością spełnienia, ich pasją. To jest ogromny wysiłek, wiele pracy, a spektakle są jednak ulotne. Zostaje trochę fotografii, ktoś zarejestruje przedstawienie na wideo, ale nie jest to stała scena, która regularnie powtarza włączone do repertuaru przedstawienia. Choć teatr pokazuje także sztuki wyjazdowe, napisane dla dwóch aktorek przez Kazimierza Brauna, układające się w cykl prezentujący wielkie Polki - emigrantki. Są one prezentowane w różnych miejscach Ameryki Północnej i Południowej oraz w Europie, gdzie mieszkają duże grupy Polaków. Stają się sposobem na propagowanie polskiej kultury na świecie. Od pewnego czasu sztuki te są tłumaczone na różne języki i mogą je oglądać także cudzoziemcy.



Agata Pilitowska w sztuce Kazimierza Brauna „American dreams”. fot. Stanisław Cisek.

Wielką wartością Pani książki jest chyba właśnie to, że jest to książka o ludziach, a to zawsze jest ciekawe. Przypuszczam, że również dla Pani wartością dodaną był fakt, że mogła porozmawiać z wieloma interesującymi artystami. Jak zapamiętała Pani te spotkania?

Spotkania i rozmowy zaowocowały przyjaźniami, dotyczy to głównie tych osób, z którymi spotykałam się najczęściej. Weszłam wręcz w życie rodziny Pilitowskich i czułam się kimś bliskim. Przywiązałam się też do śp. Jasi Jasińskiej - artystki teatru Hemara. Była aktorką przedwojenną ze Lwowa i przeszła cały szlak bojowy z Armią Andersa - występowała tam w teatrze. Mieszkała niedaleko mnie w Toronto i okazała mi wiele ciepła i serdeczności.

Dzięki tej książce poznawała Pani także środowisko, próbując się jakoś zakorzenić w Kanadzie...

Istotnie, wyjechałam do Toronto, nie znając tam nikogo. W tej sytuacji teatr i rodzina Pilitowskich stali się moją "rodziną zastępczą". Dzięki temu zaczęłam od nowa budować wokół siebie środowisko, tworzyć więzi. Po każdej mojej przeprowadzce musiałam pokonać wielki stres, ale później okazywało się, że wszędzie mieszkają ciekawi ludzie. To bardzo wzbogaca. Pomagał mi fakt, że pobyt w kolejnym mieście zaczynałam od wieczoru autorskiego, związanego z moją poprzednią książką o Helenie Modrzejewskiej. Opowiadałam o tej niezwykłej postaci i jej amerykańskim sukcesie, organizowałam wystawy pamiątek, które zbieram od lat i tak budował się krąg nowych znajomych, a z czasem przyjaciół.

A czym się różnią spotkania autorskie w Kanadzie i USA od tych w Polsce?

Podczas spotkań autorskich w Polsce pytano mnie m.in., jaką rolę spełniają takie ośrodki, jak Salon Poezji, Muzyki i Teatru, stworzony przez Marię Nowotarską i jaki mają wpływ na to, aby polska młodzież na emigracji rosła w poczuciu własnej wartości. Czytelnicy na emigracji są bardziej sentymentalni. Dla nich taki wieczór to okazja do przypomnienia sobie języka, postaci z polskiej historii i literatury oraz do spotkania się.

Wywiad pochodzi z portalu Kulturaonline:

<http://kulturaonline.pl/joanna,sokolowska,gwizdka,wszedzie,mieszkaja,ciekawi,-ludzie,wywiad,tytul,artykul,28258.html>

Spotkanie brazylijskie - fotoreportaż

Uroczystość wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie trzem pisarzom z Brazylii - prof. Henrykowi Siewierskiemu, Tomaszowi Łychowskiemu i księdzu Zdzisławowi Malczewskiemu, za propagowanie kultury polskiej w Brazylii i na świecie.

**Ogrody Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie, 4 czerwca
2017 r.**



Gospodarze wieczoru: (od lewej) Regina Wasiak-Taylor, sekretarz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, ambasador Andrzej Krzeczunowicz, prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz dr Janusz Gmitruk, dyrektor Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, fot. Jacek Gwizdka.



Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego mieści się w budynku według projektu Lanciego przy Al. Wilanowskiej 204 w Warszawie.



Wystawa prac jednego z laureatów Nagrody Literackiej, Tomasza Łychowskiego, fot. Jacek Gwizdka..



Wystąpienie Leonardo Cleavera de Athayde, Ministra z Ambasady Federacyjnej Republiki Brazylii, fot. Andrzej Sokołowski.



Wystąpienie dyrektora Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, dr Janusz Gmitruka, fot. Jacek Gwizdka.

Laureaci Nagrody Literackiej 2016 Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie

Prof. dr Henryk Siewierski – absolwent i doktor Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1981-1985 prowadził wykłady z języka i kultury polskiej na Uniwersytecie Lizbońskim. W roku 1985 objął stanowisko profesora literatury na Universidade de Brasilia oraz dyrektora wydawnictwa tego uniwersytetu. W roku 2011 utworzył na tej uczelni Katedrę Cypriana Norwida, której zadaniem jest propagowanie literatury i kultury polskiej w Brazylii. Publikując eseje na temat polskich pisarzy i poetów, popularyzuje tam znajomość literatury polskiej, jej wielkość i różnorodność. Autor około stu artykułów i esejów literackich, głównie w języku portugalskim, a także szeregu książek, m.in. *Spotkanie narodów* (Paris 1984), *Jak dostałem Brazylię w prezencie* (Kraków 1998), *Historia da literatura Polonesa* (Brasilia 2000), *Outra lingua. Poemas* (2007, 2012), *Architektura słowa i inne szkice o Norwidzie* (Kraków 2012). Ostatnio wydał *Szkice brazylijskie* (Warszawa 2016). Henryk Sierwierski jest tłumaczem dzieł pisarzy i poetów polskich na język portugalski (Schulz, Norwid, Różewicz, Szymborska). Na język polski przetłumaczył m.in. wiersze Fernanda Pessoa.

Podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, laudację wygłosiła Nina Taylor-Terlecka.



Prof. Henryk Siewierski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, fot. Jacek Gwizdka.



Prof. Henryk Siewierski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polkich na Obczyźnie, fot Jacek Gwizdka.

Tomasz Łychowski - poeta, tłumacz, malarz. Urodził się w Angoli, w Afryce Portugalskiej. W roku 1938 przyjechał wraz z rodzicami do Polski. Kiedy wybuchła II

wojna światowa, obydwój rodzice włączyli się do konspiracji, wkrótce cała rodzina dostała się w ręce gestapo i została osadzona na Pawiaku, ale przeżyła. W roku 1949 Tomasz w wieku 14 lat wyjechał z rodzicami do Brazylii. Przyszły poeta ukończył studia w języku angielskim w brazylijskiej filii uczelni Cambridge. Pracował w oświacie i szkolnictwie wyższym, opracowywał programy nauczania, prowadził wykłady. Współpracował z czasopismem „Aproximacoes” (Zbliżenia), wydawanym przez prof. H. Siewierskiego. Pisał także do pism polonijnych w Kurytybie i w Argentynie. Wielką pasją Tomasza Łychowskiego jest obok poezji malarstwo. Swoje obrazy pokazywał na wystawach w Ameryce Południowej, w Polsce i w Londynie. Wydał tomiki wierszy w językach portugalskim, angielskim i polskim, m.in. *Glimpses/Vislumbres* (1996), *Voices/Vozes* (1998), *Encontros/Spotkania* (2006), *Skrzydła/Asas* (2008), *Recomeco* (2014), a w 2010 r. autobiograficzny tom prozy *Moja droga na księżyc*. Tłumaczy poezję Hartwig, Krynickiego, Lipskiej dla czasopisma Brazylijskiej Akademii Literatury.

Podczas uroczystości Tomasz Łychowski czytał swoje wiersze po polsku, a jego syn Rodrigo Łychowski po portugalsku. Laudację wygłosiła Aleksandra Ziólkowska-Boehm.



Tomasz Łychowski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, fot. Jacek Gwizdka.



Tomasz Łychowski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, fot. Jacek Gwizdka.

Ksiądz dr Zdzisław Malczewski TChr - urodził się w Nowym Brzesku k. Krakowa. W roku 1969 wstąpił do Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej. Święcenia kapłańskie w 1976 roku. Po uzyskaniu doktoratu na Uniwersytecie Poznańskim w roku 1979 przybył do Brazylii w celu realizacji misji zgromadzenia. W

latach 1999-2009 był redaktorem naczelnym studiów polsko-brazylijskich „Projeções”, drukowanych w języku portugalskim w Kurytybie, a także założycielem półrocznika „Polonicus”, pisma rozsyłanego na brazylijskie wyższe uczelnie i do wielu ośrodków kultury. W czerwcu 2009 roku objął funkcję rektora Polskiej Misji Katolickiej i rozpoczął wydawanie biuletynu „Echo Polskiej Misji katolickiej w Brazylii”, który jest tam jedynym pismem wydawanym w języku polskim. Ksiądz Malczewski jest korespondentem Radia Watykańskiego, a także autorem książek *Obecność Polaków i Polonii w Rio de Janeiro* (Lublin 1995), *Słownik biograficzny Polonii brazylijskiej* (Warszawa 2000), *Polonii brazylijskiej obraz własny. Zapiski emigranta, 1979-2006* (Kurytyba 2007).

Ksiądz dr Zdzisław Malczewski nie mógł wziąć udziału w uroczystości. Laudację wygłosiła Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas wygłaszania laudacji, fot. Jacek Gwizdka.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas wygłaszania laudacji, fot. Jacek Gwizdka.
O przyznaniu Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie zdecydowało jury w składzie: Andrzej Krzeczunowicz, prezes ZPPnO; prof. Beata Dorosz, IBL PAN; ks. prof. Janusz Ihnatowicz, Houston, USA; ks. prof. Bonifacy Miązek, Wiedeń; dr Nina Taylor-Terlecka, Oxford; dr Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Wilmington, USA.

Spotkaniu towarzyszył koncert muzyki brazylijskiej zatytułowany „Brasis: o Sonho »À fl or da pele«”. Wystąpili: Sérgio Silva - gitara klasyczna, Piotr Pisarewicz - bas i Tadeusz Stasiak - gitara klasyczna.



Koncert muzyki brazylijskiej, fot. Jacek Gwizdka.

Po części oficjalnej można było porozmawiać przy lampce wina oraz obejrzeć wystawę poświęconą brazylijskiemu poecie polskiego pochodzenia Paolo Leminskiemu „Powróciło moje polskie serce”.



Od lewej: prof. Andrzej Krzeczunowicz, Joanna Sokołowska-Gwizdka oraz przyjaciółka Związku Pisarzy Polskich z Londynu i Regina Wasiak-Taylor, fot. Jacek Gwizdka.



Joanna Sokołowska-Gwizdka w rozmowie z laureatem Tomaszem Łychowskim, fot. Jacek Gwizdka.



Joanna Sokołowska-Gwizdka w rozmowie z laureatem Tomaszem Łychowskim, fot. Jacek Gwizdka.



Joanna Sokołowska-Gwizdka w rozmowie z Niną Taylor-Terlecką, fot. Jacek Gwizdka.



Deszcz sprawił niemiłą niespodziankę, ale nie przeszkodził w uroczystości, fot. Jacek Gwizdka.

Bibliograf prasy emigracyjnej. Jan Kowalik (1910-2001).



Jan Kowalik z żoną, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

W Kalifornii 12 lutego 2001 roku zmarł po długiej chorobie Jan Kowalik czyli Jan Sławiczek ze Skoczowa. Pamiętam moje pierwsze spotkanie w San José, dokąd pojechałem chcąc poznać wspaniałego ziomka, człowieka-instytucję, mającego ogromne zasługi dla kultury polskiej, a zwłaszcza dla bibliografii czasopism.

Kowalik urodził się w Skoczowie w 1910 roku, kształcił się w seminarium

nauczycielskim, został nauczycielem i debiutował w prasie przed wojną. O historii swej edukacji napisał tak:

W zasadzie, od dziecka poczuwszy, uprawiam samokształcenie. Formalnie ukończyłem Seminarium Nauczycielskie w Bielsku-Białej oraz jako eksternista Państwowy Kurs Nauczycielski w Mysłowicach i Krakowie. Na kilka lat przed wojną imatrykułowałem się jako student zaoczny na Jagiellonce w Krakowie (Historia u Dąbrowskiego, i Psychologia u Heinricha) dojeżdżając z Mikołowa do Krakowa pociągami kilka razy w tygodniu, ale zabawa skończyła się gruźlicą, i musiałem przerwać studia, nie kończąc niczego. Mogłem edukację formalną dokończyć kiedyś po wojnie, ale zająłem się dokumentacją z nakazu zapotrzebowania społecznego, i rezygnując z zaszczytnych tytułów naukowych. Uczę się jednak dalej...

Po wojnie Amerykanie oswobodzili go z niemieckiego obozu pracy. Najpierw był pacjentem sanatorium dla chorych na gruźlicę a następnie jego administratorem. Potem został komendantem obozu dla uchodźców. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych w 1950 roku, a dwa lata później osiadł w Kalifornii.

Jeszcze w Niemczech założył tygodnik „Polak w Waldeck” i współpracował z „Ostatnimi Wiadomościami”, „Słowem Katolickim” i „Kroniką”. Wydał zbiorki wierszy „Ścieżka przez Steinatal” (Monachium 1947) i „Wiatr w gałęziach” (Monachium 1948). W tym też czasie zainteresował się bibliografią, tak że do USA wiozł już bogate archiwum.

Jego życie było pełne utrapień, ustawicznie musiał baczyć na stan zdrowia. W liście z roku 1959 wspomina kurację sercową przeprowadzoną w Niemczech, kilka lat później, w 1963 skarży się, że ma:

[...] dużo pracy, ciągłe chorowanie, a ostatnio przeprowadzenie się do nowego miejsca zamieszkania, czyli przenoszenie kilku tysięcy książek i roczników prasy mego „Polish Emigré Press Archive”, budowanie na nowo półek bibliotecznych, katalogowanie, oprawianie, itd. itd., co przy moim stanie zdrowia było wyczynem omalże Herkulesowym.

Borykając się ponadto przez cały czas z kłopotami finansowymi poświęcił długie życie dokumentacji historyczno-bibliograficznej Polaków rozproszonych po świecie. Dziesięciolecia wytrwałej pracy zaowocowały szeregiem publikacji bibliograficznych z sześciotomową bibliografią czasopism polskich wydanych poza granicami Polski od września 1939 roku na czele. Cenzura PRL-u szczególnie długo przetrzymała piąty tom. Skarżył się Kowalik w jednym z listów:

[...] piąty tom mojej bibliografii prasy leży w KULu, to znaczy u wydawcy od przeszło roku, i cenzura odkryła nagle, że ta biedna najsuchsza ze suchych książek, szkodzi politycznie Polsce Ludowej i stawiają coraz to nowe żądania odnośnie zmian tekstu.

Dziś to monumentalne dzieło dokonane przez jednego człowieka, a wydane przez Katolicki Uniwersytet Lubelski w latach 1976-88 stanowi zasadniczy fundament naszej wiedzy o przedmiocie. Ciężka choroba Kowalika utrudniała mu ukończenie szóstego tomu, a tysiące pozycji bibliografii polskiej diaspory czekało na opracowanie. *Bibliografia to bardzo niebezpieczne zajęcie, bo jak się raz zacznie, to później bardzo trudno skończyć, zwierzył się kiedyś.*

Już w Stanach Zjednoczonych Kowalik pełnił funkcje redaktora pism „Polak w Kalifornii” i „Migrant Echo”. Publikował m.in. w paryskiej „Kulturze” i torontońskim „Związkowcu”. Otrzymał nagrody Alfreda Jurzykowskiego (1968) i Anny Godlewskiej (1973). Kontynuował również zamięłowania literackie wydając wiersze „U drzwi Twoich” (Paryż 1985), a w Albany, USA, „Exsul familia” (1983), „Zatrzymać czas” (1987), „Zapis w kalendarzu” (1989) oraz prozę „Krzyż Malika” (1985). Jako czwarta pozycja lublińskiego „Akcentu” wyszły jego „Wiersze wybrane”. To duża satysfakcja doczekać wydania wierszy w Polsce, tam gdzie znajduje się właściwy czytelnik. Bo każdy emigrant, który nie z własnej woli znalazł się na obczyźnie, pragnie dotrzeć do odbiorcy w rodzinnym kraju.

Poezje Kowalika mówią przede wszystkim o tęsknocie do swoich stron i drogich osób. Są proste, ciepłe, ludzkie. Nie potrzebują reklamy, nie epatują techniką. Skromne i szczere doskonale oddają niełatwe zgodzenie się na poniewierkę, na sytuację bezprzydziałowego tułacza, któremu „wycieka z żył/ nadzieja”. Poeta hołubi romantyczne wartości bez żenady, szuka w końcu ojczyzny uniwersalnej, przejścia

„przez inne drzwi”:

do Polski tej wiekuiestej

jasność oglądać Bożą

Na początku tej drogi były inne momenty. Jedną z ciężkich rozterek utrwalił wiersz „Korespondencja”. Twarda konieczność czasów zimnej wojny sprawiła, że słowa kochanej osoby „stamtąd”, które najpierw brzmiały - „Kocham...czekam...Kiedy” z czasem zamieniły się w „Pamiętam, nie czekam, rozumiem”.

Wydawać by się mogło, że znalazłszy się w Kalifornii emigrant nie będzie już niczego potrzebował. Ta pożądana przez tak wielu ludzi ziemia, owszem, objawia się Kowalikowi w całej swej krasie, ale on tym niemniej wzdycha:

Żeby tak jeszcze

kilka taktów skowronka

W innym utworze napisze:

Tylko z oczyma źle:

patrzysz na Santa Cruz mountains

a widzisz

Beskid

Przetrwać w obcym krajobrazie i wśród innych ludzi pozwala łatwiej nowy dom odpowiednio przystosowany i oswojony.

Pisze poeta:

Ogrodzę cię kołem grzybów

Psem legnę na wspomnieniach.

Polskę tu swoją założę!

Nieustająca miłość do Polski, ten przysłowiowy już i może mało przez nowe pokolenia zrozumiały patriotyzm ludzi urodzonych między wojnami, nie jest ślepy. Poeta zdaje sobie sprawę ze złych cech swoich rodaków mówiąc „Ojczyzno, czas ci się zmienić”. Dumny jest z tego, że w życiu nie szukał majątku, nie biegł tam, gdzie jest dostaniej. Bo „choć rozkazy przebrzmiały, / sztandar nam oczy przesłania / nadzieja rozumu”. Pociesza się, że

Legenda nas kiedyś uskrzydli.

Tymczasem -

Jak każdy pomnik -

Truje nas grynszpan niezgody,

Rdzawi nas czas...

Także tę wolność

Psiakrew!!

Naszą i waszą.

Gorzkie słowa, które, niestety, nie tylko na emigrację, ale na całą polską rzeczywistość rozciągnąć można. Myślę, że tak już inni, młodszy poeci poza krajem tęsknić nie będą.

Redaktor torontońskiego półtygodnika Benedykt Heydenkorn nazwał Kowalika „świeckim patronem prasy emigracyjnej”. Pamiętam apele Kowalika drukowane w emigracyjnych pismach o zachowanie „starych papierzyk”:

...nie bądźcie bez serca dla tych pożółkłych biuletynów obozowych, nadgryzionych gazetek polowych i zleżałych płacht polonijnych tygodników. Taż to część

Ojczyzny, która za Wami szła, i z Wami zostaje. Nie telefonujcie zaraz po śmieciarza. Pomyślcie, że „Polska to wielki zbiorowy obowiązek”, w którego spełnieniu możecie właśnie dopomóc.

Odszedł jeszcze jeden z wielkich zasłużonych emigracji niepodległościowej do końca swojej ziemi wierny.

Ewa Kołacz. Fazy światła.



Ewa Kołacz, malarka i poetka z Kanady

John K. Grande

Adeptka sztuki lalkarskiej i poetka Ewa Kołacz (Ewa Kolacz) maluje od 1981 roku. Sztukę wizualną artystki wyróżnia ciągłość emocjonalna malarskiego gestu, który bezpośrednio przekłada uczucia na język światła i barw. Jej malarstwo składa się z elementów, które się oddalają, by się zatrzymać i w rezonansie tworzyć przestrzeń podtrzymującą ciągłość ludzkich emocji. (...)

Każdy obraz Ewy Kołacz powstaje na przestrzeni czasu i choć zdaje się on istnieć w konkretnym miejscu, jest to jedynie świat malarski, gdzie każdy scenariusz inspirowany jest emocjami, malowany kolorem i tworzony przez światło. Jej malarstwo wyróżnia bezpośredniość interpretacji. Emocje stają się pejzażem, a wnętrze ulega ciągłej transformacji. Obrazy te są odzwierciedleniem na potrzeby serca, a powierzchnia obrazu jest określeniem tożsamości zawierającej w sobie miejsca, atmosferę, zmiany i nieskończoność. To wszystko z godnym podziwu wyczuciem koloru. Nie jest łatwo stworzyć dramatyczne i jednocześnie skromne obrazy, aby mogły wyrazić wrażliwość natury ludzkiej. Obrazy istnieją na powierzchni, która staje się głębią światła, kształtującą formę. Są przypowieściami o ludzkim doświadczeniu. (...)

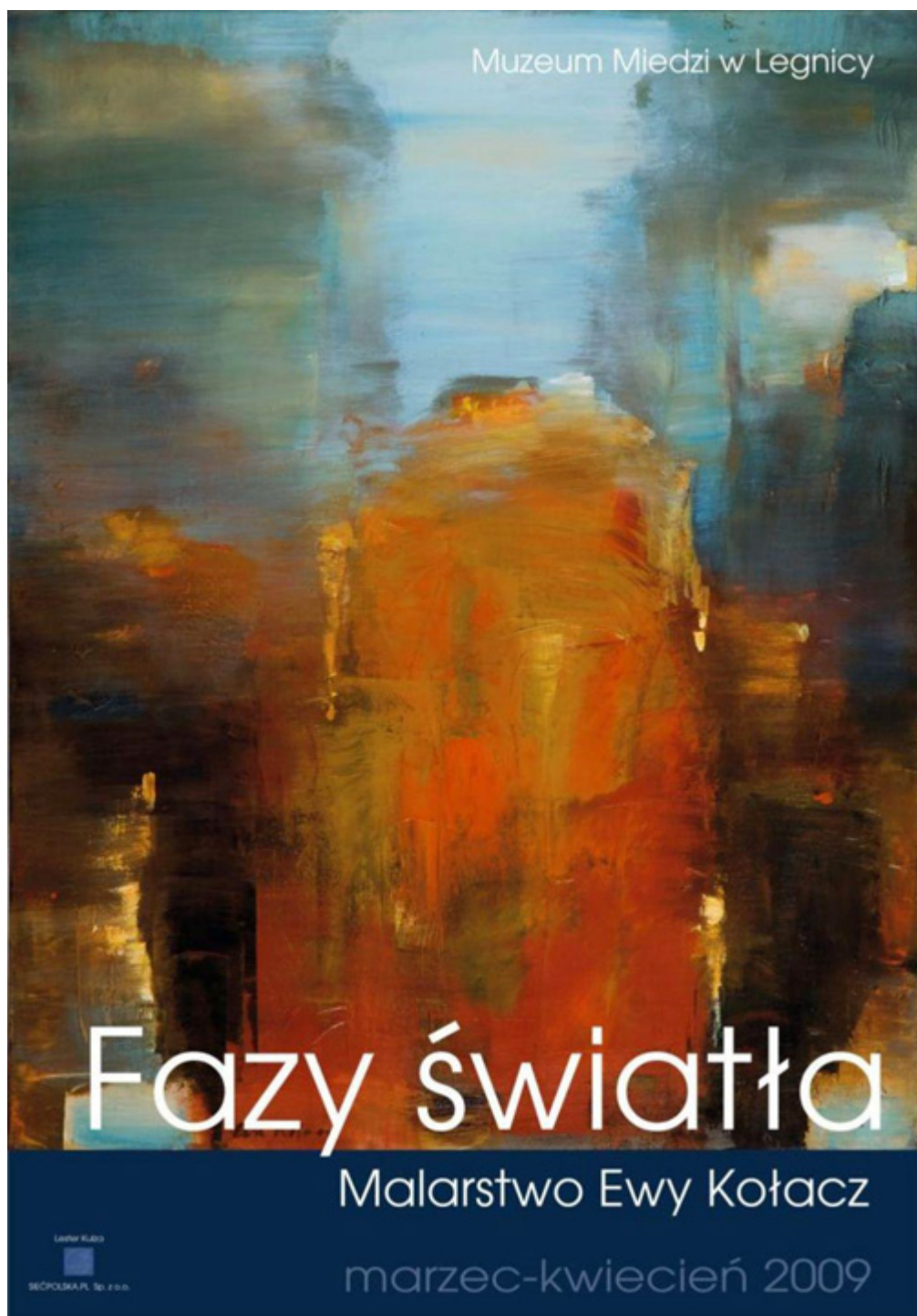
Rzut optyczny w obrazach może być wertykalny lub horyzontalny, podkreślany intensywnym rozproszeniem i odbiciem, a niekiedy gęstością atmosfery. Każdy z obrazów posiada serię fraz wizualnych, gdzie gest nakłada się na kolejne warstwy obrazu. (...)

Obdarzona wrodzonym zmysłem abstrakcyjnego procesu twórczego, porównywalnym do angielskiego malarza Ivona Hitchens'a, Ewa Kołacz kieruje nas drogami, prowadzonymi przez pędzel. Ten podświadomy proces malowania jest podobny do filmu, ani nie jest nierozwinięty, ani mechaniczny. W przeciwieństwie do malarza techniki automatycznej, Ewa Kołacz podąża za przemyślaną wizualną formą faktur, niczym myśliciel rozkoszujący się malarskością chwili. Teatralność momentu powołuje do życia rzeczywistość wynikłą z procesu twórczego. Jest to podświadomy proces, który kwestionuje własne doświadczenia i metodę pracy. W ten sposób Ewa Kołacz rozwija swój język malarski, wychodząc poza dogmaty modernistyczne, które charakteryzują się stylistyczną zuchwałością, ograniczając swobodę artysty, podążając za maksymami, dyktatami i paradygmatami epoki. Ewa Kołacz ma wycucie momentu i jego aparycji. Odnajduje formę w procesie malowania. Te formy

wyrażają kruchość i ciągłość zmian, w którym bierzemy udział przez chwile. Obcowanie z jej obrazami równa się zagłębieniu w spokojną przestrzeń pełnej syntetyzującej i wibrującej głębi, pól atmosferycznych skąpanych w świetle, (...)

Ewa Kołacz prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (...) Malarstwo Ewy Kołacz powstało z wielkiej pasji. Jak sama artystka mówi: „Kiedy masz pasję, nie zastanawiasz się, w jaki sposób inni odbierają twoje malarstwo”.

Ewa Kołacz



Wciąż są we mnie

brzegi

cichego lata

i złote drgania

wody

owinięte wokół stóp

wszystko

zapisane

momenty

płyną

spokojną strugą

między jednym dniem

a drugim

nocą a nocą

nie dotykać się

w obawie

że sen ten się skończy



Ewa Kołacz

Wciąż są

we mnie sny

o niebieskich powiekach

i żdzbla trawy

w nich

które rodzą chwile

to tu

zanurzam się cała

bo w śnie

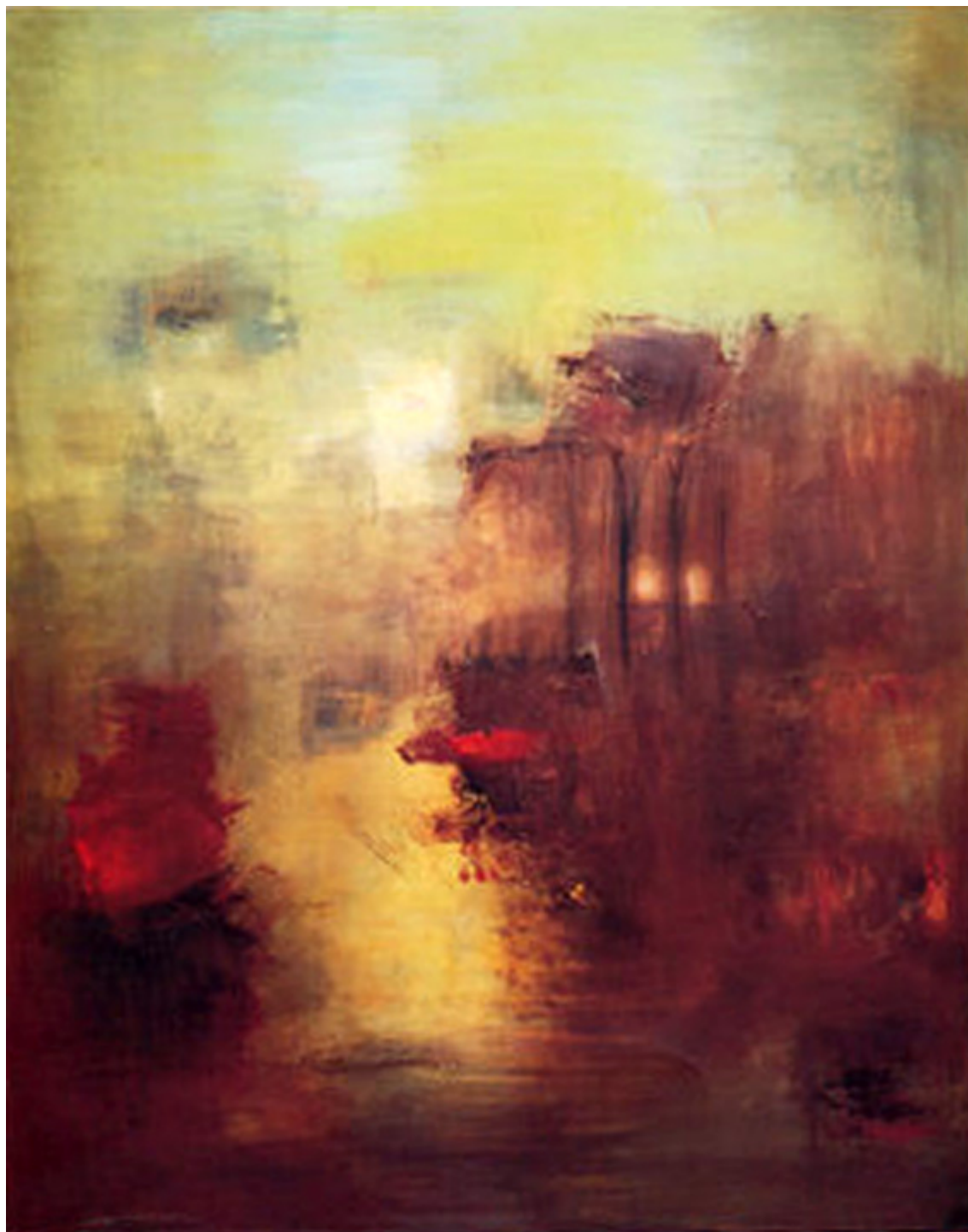
prócz lęków

nie ma

prawdziwego bólu

Prace Ewy Kołacz z albumu „Fazy światła”













Klarncysta z Auschwitz. Wojciech Gniatczyński (1924-1985).

Florian Śmieja



Wojciech Gniatczyński na zawodach lekkoatletycznych na Uniwersytecie w Cork.

Wojtka poznałem jesienią 1947 roku na studiach w Irlandii Południowej. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, razem uczęszczaliśmy na wykłady, bywaliśmy w tych samych lokalach. Swoim uśmiechem i ujmującą nieśmiałością ten wysoki i przystojny szatyn potrafił oczarować każdego. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozu w Auschwitz i Dachau. To te ciężkie doświadczenia, pewny jestem, spowodowały także opory i wahania, które hamowały i ograniczyły jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim mieście Cork wybijał się wśród kolegów wszechstronnym odczytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał i przekładał z angielskiego i nie spieszył się z drukowaniem. Czekał na przychylniejsze

czasy, które długo nie nadchodziły. Najpierw przeszkodę stanowiły niepewne warunki materialne, potem, niemożność opanowania choroby. Może nauczony cierpliwości, potrzebował większego dystansu do pisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w roku 1982 donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego uciążliwej choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, przejdzie na wcześniejszą emeryturę i będzie mógł w końcu swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykł był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy na obczyźnie poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go wydawnictwo Veritas, w którego pismach „Życie” i „Gazeta Niedzielną” pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. Dzięki animatorowi emigracyjnych debiutów w Londynie, poecie i poloniście Józefowi Bujnowskiemu, w 1954 roku ukazał się tom poezji Gniatczyńskiego „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznaną, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by go szerzej rozprowadzić.

Te pierwsze wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Objawiają one poetę dyskretnego, delikatnego, nie celebrującego swojego dokonania. Charakteryzuje je melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu.” Ale znał również dym inny „Dym śmierdzący, żółty - z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z istotą Londynu, w którym usiłował się zadomowić. Wraz z Olgą Żeromską i Januszem Jasińczykiem (Poray-Biernackim) mieszkał we wspólnym mieszkaniu-pracowni, zwanej kahałem.

Z sympatią przyglądał się wykluwaniu się pism młodych w latach pięćdziesiątych w Londynie. Nieco później w swoim liście z Monachium wspominał:

...na pewno pamiętasz jakśmy w Veritasie łamali pierwsze numery „Życia Akademickiego” - a ostatecznie to był praszczur obecnych „Kontynentów”. Pamiętam też, że sobie wtedy z trudem zapracowane 10 s. (szyligów - FS) odmówiłem, żeby kupić „dożywotnią” prenumeratę - hej, łza się w oku kręci!

Z wysokości swego doświadczenia dodał wtedy rzeczowo:

Jedna sprawa która jest w moim przekonaniu najistotniejsza. Jakikolwiek pismo literackie musi mieć pewien po prostu czysto zewnętrzny rozmiar. „Kontynenty” są za małe – cóż tam się zmieści? I dlatego wydaje mi się, że bez subsydium pismo nie może ujechać. Zresztą chełpienie się, że „my bez subsydium” jest zupełnie dziecinne. Dzisiaj nie ma na całym świecie ani jednego pisma literackiego bez subsydium. Może jedne „Wiadomości”, ale Grydzewski też na pewno skądś dostaje pieniądze, tylko ta sprawa nigdy jeszcze nie wypłynęła – as far as I know. Ostatecznie instytucje i ludzie z pieniędzmi po to są, żeby je wydawać na rozsądne cele. I tak było zawsze, zawsze sztuka etc. musiały mieć swoich mecenasów. Słowem jest to sprawa, nad którą powinieneś się poważnie zastanowić.

Kiedy zaofiarowano mu pracę w radiu, musiał opuścić literackie środowisko Londynu, lecz również w Monachium wśród kolegów w pracy znalazł kongenialnych ludzi i ciekawych pisarzy jak Tadeusz Nowakowski czy Czesław Straszewicz. Gniatczyński nie był pisarzem płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Pamiętam, że dokonał przekładu sztuki irlandzkiego dramatopisarza J.M. Synge’a, tłumaczył Tomasza Moore’a, Shelleya, Eliota, Conrada. Wiersze drukował rzadko, najchętniej w „Wiadomościach”, dlatego ubolewał, kiedy przestały w 1981 roku wychodzić.

Choć wyjechał z Anglii nadal życzliwie obserwował losy pism, z którymi współpracowałem. Nie znaczy to, by przyjmował wszystko za dobrą monetę. Znajdując się w samym środku walki ideologicznej i dysponując bogatą znajomością spraw obozu komunistycznego, wytykał w swoich listach naszą ślepotę i pochopne sądy. Nawiązując do obranej dla antologii naszej poezji metafory „ryby na piasku” napisał:

Zawsze natomiast zarzucałem „rybom na piasku”, że obojętnie płyną swoimi rzeczulkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to czego nigdy nie rozumiałem.

Dla poezji Gniatczyński miał zawsze wysokie uznanie. Ideał widział w poezji zwartej, używającej trafnego słowa, bez taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności i niesprawdzalności w wyrażanej przez nią uczuciach. Nie łączył jej z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego poeta dobiera słowa do słów i nie należało go pytać o intencję, bo sam twórca bardzo szybko nie pamięta i nie rozpoznaje elementów autopsji i zmyślenia. Jego zdaniem, sam utwór sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał twierdząc, że poezja jest zawsze „implicite” a nie „explicite”, ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

Moim zdaniem - napisał kiedyś w liście - w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykonologiczne. Moim zdaniem, prawdziwa poezja to poezja najprostsza - ale nie tą kłamaną, rzekomą prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza. Słowo „łzy” jest tak oklepane, że się od niego rzygać chce - ale przecie „Połąły się łzy me...” - to właśnie poezja.



Wojciech Gniatczyński, fot. arch. Floriana Śmieji.

Tom „Wiersze dla Magdaleny” wydany po śmierci był drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmuje całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie teksty, które zawiera, były wcześniej drukowane w czasopiśmie emigracyjnym, choć zebrane stały się łatwiej dostępne dla zainteresowanego czytelnika. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”, „Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem”. Towarzyszą im przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P.B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną – do końca głęboko skrywane przed innymi przeżycia obozowe. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wróciły w majakach. Być może Gniatczyński ocalał swe życie, bo grał na klarncie w obozowej orkiestrze.

W wierszach, w których tę tematykę porusza, nie mówi jednak o sobie, mówi o dzieciach. Przypomniał ich tragedię przyrównując ich los do zagłady ufnych dzieci, które przed wiekami wyruszyły na krucjatę, z której już nie miały powrócić. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Stanowiła tło zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Była tylko częścią okrutnego czasu. Poeta napisał:

*A niebo było błękitne
jak cyklon w komorze gazowej.*

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć mu w wycieczce w krainę niehumanitarną zbrodniczej przemysłowości zdeprawowanego człowieka:

*Ciężka na świecie zima
polska.
Na grudzie zeschnięte
zielska.
Tylko w komorze gazowej
ciepło.
Tylko w sercu człowieka
piekło.*

Lektura tej poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki), każe też boleć nad losem całej twórczości Gniatczyńskiego, nie dokończonych i rozproszonych. I nie napisanych. Poeta, niewątpliwie obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy słusznie się po nim

spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go przez lata nurtowało i powoli dojrzewało. Musimy natomiast zebrać teksty wydane i rozproszone po czasopismach czy pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o skompletowaniu jego twórczości, której jedynie część posiadamy.

W Londynie zaczęło się moje życie pisarza emigracyjnego

Z poetką Anną Frajlich, laureatką nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości w 2016 r., rozmawia Katarzyna Bzowska.



Anna Frajlich, fot. Krzysztof Dubiel

Katarzyna Bzowska:

Od ponad 40 lat mieszka Pani w Stanach Zjednoczonych, ale debiutowała Pani w Londynie w 1976 r. w Oficynie Stanisława Gliwy. Kilka tomików poezji ukazało się w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy. Publikowała też Pani w „Wiadomościach”. Jak doszło do tej współpracy przez ocean?

Anna Frajlich:

Debiutowałam w prasie w Polsce w 1958 roku i będąc jeszcze w liceum w Szczecinie dostałam w tym swoim mieście pierwszą nagrodę literacką. W Polsce publikowałam w różnych pismach niszowych. Tuż przed wyjazdem z Polski w 1969 roku złożyłam tomik w wydawnictwie, ale wyjechaliśmy, a że była to emigracja

polityczna, to oczywiście książka nie mogła się ukazać.

Trauma wygnania pogłębiła moje doświadczenia pisarskie. Nawiązanie kontaktu z „Wiadomościami”, najważniejszym wówczas pismem literackim na emigracji, było naturalną rzeczą. To ustawiało autora w środowisku emigracji polskiej na całym świecie. Jak doszło do tego? W sposób jak najbardziej zadziwiający - wysłałam wiersze i dostałam niemal entuzjastyczną odpowiedź.

W świecie rządzonym kontaktami i znajomościami wydaje się to mało prawdopodobne, ale takie były „Wiadomości” i taka była Stefania Kossowska. Po kilku wierszach wydrukowanych w „Wiadomościach” miałam wiele drzwi otwartych. Stąd współpraca z pismami w Stanach - z „Przeglądem Polskim”, „Tygodnikiem Nowojorskim”, a także z „Kulturą” paryską. To mnie nawet w pewnym sensie doprowadziło do doktoratu.

Cztery moje pierwsze tomiki wyszły w emigracyjnych oficynach: u Stanisława Gliwy (*Aby wiatr namalować*, 1976), w Oficynie Poetów i Malarzy (*Tylko ziemia*, 1979; *Który las*, 1986) oraz w amerykańskiej oficynie Stanisława Piaskowskiego Sigma Press (*Indian Summer*, 1982).

W Londynie spotkałam także Bronisława Przyłuskiego i Tymona Terleckiego. To były dla mnie ważne spotkania i rozmowy. Wyjeżdżając z kraju myślałam, że moje życie się skończyło, dzięki „Wiadomościom” i temu, że Stany są krajem otwartym, ono się dopiero zaczęło. W *Rozmowach ze Stanisławem Gliwą* Mai Elżbiety Cybulskiej oraz w *Definicji szczęścia* Stefanii Kossowskiej można przeczytać wiele na ten temat.

KB: Przyjechała Pani do Londynu, by odebrać nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przyznaną za całokształt twórczości. Jest pani laureatką innych nagród przyznawanych przez fundacje działające poza Polską - Kościelskich oraz Władysława i Nelli Turzańskich. Jakie znaczenie ma dla Pani ta londyńska nagroda w porównaniu z tymi dwiema wymienionymi?

AF: Londyńska nagroda ma dla mnie ogromne znaczenie, dlatego że jest londyńska właśnie, bo jest związana z miejscem, w którym - jak powiedziałam -

zaczęło się moje życie pisarza emigracyjnego. W Londynie ukazała się moja pierwsza książka, w Londynie Stanisław Baliński ogłosił pierwszą recenzję. Byłam kilka razy w Londynie, gdzie miałam wieczory autorskie (w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie także), spotkałam tam paru pisarzy emigracyjnych.

Cenię sobie nadzwyczaj fakt, że po dziesięcioleciach mój dorobek został doceniony właśnie tu. Nie wiem, czy porównywanie tych nagród jest możliwe. Jestem wdzięczna losowi i wszystkim trzem fundacjom za docenienie mej pracy na każdym z tych etapów. Dla pisarza na emigracji, który przeważnie funkcjonuje w oderwaniu od środowisk literackich każda taka nagroda jest oznaką, że jego głos dociera do ludzi, którym poezja jest potrzebna. Nagroda Kościelskich przeznaczona dla młodych pisarzy, bardzo ceniona do dziś dnia, była dla mnie ogromną podporą i zastrzykiem optymizmu. Niestety, nie stać mnie było wówczas na podróż do Szwajcarii, bo podróż przekroczyłaby koszty samej nagrody. Ale dzięki tej nagrodzie mogłam wydać następną książkę, no i pozostaje ona na zawsze w moim życiorysie.

Nadzwyczaj cenię sobie nagrodę Fundacji im. Turzańskich. Ze środowiskiem w Toronto byłam i pozostaję w bliskich kontaktach, bywałam tam służbowo jako korespondent Wolnej Europy. W owym czasie robiłam wywiady z Wacławem Iwaniukiem i Bohdanem Czaykowskim. Jeździłam też z odczytami i spotkaniami autorskimi, byłam i jestem zaprzyjaźniona z pisarzami z Kanady ze starszej i młodszej generacji: Wacławem Iwaniukiem, Florianem Śmieją, Tamarą Trojanowską, Markiem Kusibą, Edwardem Zymanem. Miałam nawet zaszczyt spotkać samą panią Turzańską. Do dziś jestem im wdzięczna za uznanie i zaszczyt.

Nagroda londyńska za całokształt twórczości jest ukoronowaniem, świadczy też, że widocznie nie zawiodłam moich czytelników i instytucji, które wcześniej doceniły moje wysiłki. I jak zaznaczyłam, ma to dla mnie ogromne uczuciowe i symboliczne znaczenie.

KB: Pisze Pani zarówno wiersze, jak również krótkie formy literackie prozą, jak choćby wydane w serii „Piętnastka” tomik opowiadań „Laboratorium”, no i jest Pani autorką esejów literackich. Która z tych form twórczości jest pani najbliższa?

Co - jako twórcy - przychodzi Pani najtrudniej?

AF: Wiersze zaczęłam pisać już w dzieciństwie i już we wczesnej młodości zaczęłam je publikować. Wiersze są dane.

Jak zwykł mówić Miłosz, dyktuje je Dajmonion. Jak wspomniałam już wcześniej, trauma wygnania niewątpliwie pogłębiła moją percepcję rzeczywistości, co wpłynęło i na poezję. Natomiast proza, artykuły i eseje wymagają nie tylko inspiracji, zdolności, ale i wiedzy, badań oraz samokontroli. Niemniej jednak te sprawy wiążą się ze sobą.

Do pisania prac naukowych czy nawet esejów konieczny jest czas, którego pisarz na emigracji ma niewiele, bo musi najczęściej w innym zawodzie zarabiać na życie. Ale ponieważ i zawodowo jestem literaturoznawcą, więc staram się wypowiadać na różne sposoby. Czasem lektury potrzebne do prac naukowych mogą stać się inspiracją do wiersza. Ale wiersze zdecydowanie przychodzą same. Nigdy w życiu nie siadałam do biurka z decyzją, że dziś muszę napisać wiersz. Przeciwnie, kiedy wiersz przychodził, często szukałam nerwowo kawałka papieru i czegoś do pisania.

Co przychodzi najtrudniej? - trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, do pisania artykułu można się zmusić, do pisania wiersza - chyba nie.



Wręczenie nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Anna Frajluch i prezes Związku Andrzej Krzeczunowicz.

KB: Współpracuje Pani z pismami literackimi wydawanymi w Polsce. Jak ocenia Pani polskie pisma literackie, których z roku na rok jest coraz mniej? Czym różnią się one od podobnych pism amerykańskich? Czy mają one przyszłość w konkurencji z internetem, gdzie znacznie łatwiej i szybciej można zamieścić polemiki, krytyki i własną twórczość? Podobno współczesny pisarz „musi” mieć swój blog, bo inaczej się nie liczy. Czy Pani także zamieszcza swoje utwory w internecie?

AF: Z pismami wydawanymi w Polsce współpracuję od ponad dwudziestu lat; jestem na listach stałych współpracowników lubelskiego „Akcentu”, szczecińskiego „eleWatora”, a przedtem szczecińskich „Pograniczy”, współpracuję też z kwartalnikiem „Migotania” i „Kontekstami Kultury”, od czasu do czasu zamieszczam wiersze lub inne teksty w „Kwartalniku Artystycznym”.

Sytuacja polskich pism literackich jest podobna do pism amerykańskich w tym sensie, że są to w większości pisma niszowe, z małym poparciem finansowym. W Stanach, jak i obecnie w Polsce istnieje decentralizacja. Ale jak i w Polsce, tak i w Stanach te pisma otrzymują jakąś pomoc, powstają często przy uniwersytetach. Są to pisma istniejące z potrzeby zarówno czytających jak i piszących. Każde z nich wnosi bardzo wiele do wiedzy o kulturze, wzbogaca nas wszystkich. Kiedy dostaję takie pismo, czytam z wielkim zainteresowaniem i wiele się uczę. Mam nadzieję, że się utrzymają, co nie znaczy, że będą w stanie utrzymać autorów. Autorzy, jak w każdym kraju wolnego rynku, muszą się jakoś sami utrzymać.

Z pism amerykańskich prenumeruję i czytam w miarę możliwości czasowych kilka najbardziej znanych, głównie z dziedziny kultury polskiej (na przykład „The Polish Review”) i slawistyki.

Naturalnie, że istnieje zagrożenie ze strony internetu. Boją się tej konkurencji największe dzienniki i tygodniki. Mam nadzieję, że przetrwa pismo drukowane. Współczesne tablety przypominają mi trochę starożytne tabliczki woskowe. Internet jest szybszy, ale jest tam za dużo szumu informacyjnego, za mało głębi. Blogu nie prowadzę jak dotychczas. Sama nie zamieszczam w pismach internetowych, ale jak ktoś zwraca się do mnie z prośbą o zamieszczenie mojego wiersza, nie odmiawiam. Znajduję tam czasem swoje wiersze pięknie ilustrowane, nawet nie wiem, skąd się tam wzięły i wdzięczna jestem tym, którzy je zamieścili.

KB: Od wielu lat jest Pani wykładowcą uniwersyteckim. Czy amerykańska młodzież interesuje się poezją, literaturą, a bardziej szczegółowo - czy cokolwiek wie o polskiej poezji i literaturze?

AF: Trudno mi mówić o amerykańskiej młodzieży jako takiej. Ja uczę na jednym z najlepszych uniwersytetów i mam do czynienia z młodzieżą, która się interesuje literaturą. Innych nie spotykam, bo do mnie nie przychodzą. Ale widzę, że mój wnuk, który jest jeszcze na poziomie gimnazjum, czyta bardzo poważne lektury, uczą go analizować, porównywać. Wszyscy studenci na Columbia University muszą, niezależnie od kierunku, zaliczyć literaturę antyczną i współczesną.

Uczę języka i literatury. Na lektoraty z języka polskiego zapisują się studenci,

którzy chcą dla jakiś celów zaliczyć ten język, albo jako wymagany język obcy, albo dlatego, że specjalizują się w historii Polski czy Wschodniej Europy, w historii Żydów, lub chcą studiować polską literaturę. Muszę powiedzieć, że większość moich studentów przeszła wszelkie moje oczekiwania, wielu z nich jest obecnie profesorami, czy też specjalistami w różnych dziedzinach. Nawet jeżeli nic nie wiedzieli przedtem o polskiej literaturze, do lektur wnoszą swoją wiedzę z innych dziedzin. Potrafią w analizowanym tekście odnaleźć takie elementy, o których nawet polonistom się nie śniło i to zarówno w poezji Mickiewicza, prozie Norwida, jak i w powieściach okresu międzywojennego czy postzależnościowego.

Nie mówię, że przedstawiam tu obraz całej młodzieży amerykańskiej, ale praca ze studentami, z którymi się zetknęłam w ciągu ponad trzydziestu lat na Columbii, dała mi wiele satysfakcji i wiele mnie nauczyła. Przede wszystkim, że należy wystrzegać się stereotypów w ocenie jakiegokolwiek grupy.

„Tydzień Polski”, Londyn, 14 marca 2016 r.

Od redakcji: W maju 2017 roku Anna Frajlich została wyróżniona statuetką „Wybitnego Polaka w USA”. Uroczystość wręczenia statuetki miała miejsce w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Nowym Jorku.

<http://www.dziennik.com/wiadomosci/arttykul/znamy-tegorocznych-wybitnych-polakow-w-usa>

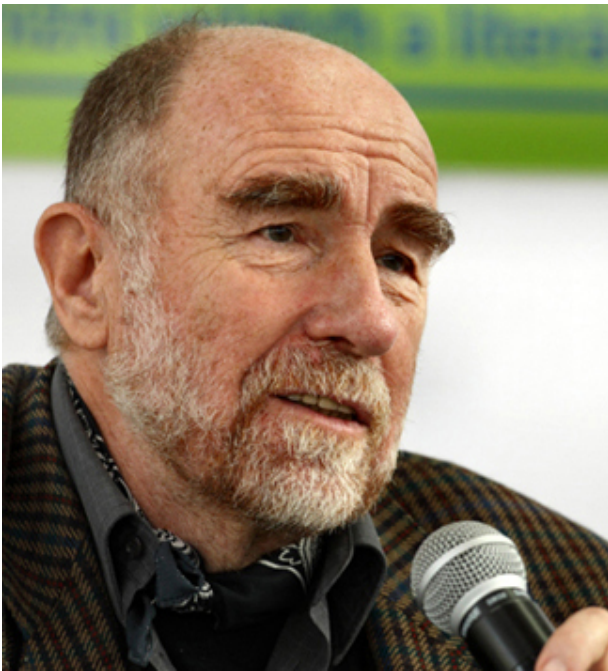
<http://poland.us/strona,20,26939,0,ny-wyroznienia-w-konkursie-wybitny-polak-w-usa--zostaly-pryzyznane.html>

http://www.nowyjork.msz.gov.pl/en/news/celebration_of_the_constitution_day_at_the_consulate_general_of_the_republic_of_poland_in_new_york

„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila” Ivana Binara: Podróż przez komunistyczne inferno

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” Ivana Binara jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi.



Ivan Binar, fot. wikipedia

Niech nikogo nie zwiedzie mający pozytywne konotacje tytuł powieści czeskiego pisarza Ivana Binara. Jego nawiązania do powieści przygodowej mają ukryte dno – są ironiczne: to raczej podróż przez piekło, choć nie opatrzone jej mottem z Dantego, ale cytatem z „Przygód dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška. Tym nie mniej jest to podróż fascynująca. Zmieniają się jej przewodnicy, a każdy z nich próbuje opisać świat pełen grozy i absurdu. Ale cóż to są za narratorzy! Jaka wyobraźnia!

Blisko 400-stronicowa powieść Ivana Binara trzyma w napięciu od pierwszych scen po ostatnie.

Początek i koniec Wieńczysława Pawia - poety i podróżnika

Autorem wstępu i zakończenia powieści (pisanym kursywą dla odróżnienia od pozostałych narratorów) jest Wieńczysław Paw - poeta i podróżnik, jak zwykł się przedstawiać. Podróżnikiem zostaje się po przejściu przez... szafkę na narzędzia w elektrowni Zwycięski Luty, podobnie jak Alicja przechodziła przez taflę lustra. Z lustrem się nie udało, z szafką tak. Z przygód Pawia po drugiej stronie szafki powstała opowieść poprzetykana jego wierszami, która po śmierci przyjaciela została wysłana (wraz z szafką) przyjacielowi, który przebywał wówczas na emigracji w Wiedniu. W ten sposób Wieńczysław Paw stał się naszym przewodnikiem po „drugiej stronie świata”, którą rządzi absurd. Co odkrył? O tym można się dowiedzieć z siedmiu rozdziałów powieści.

Walka Václava Netušila o niezycie

Pierwszy spośród nich jest opowieścią o człowieku, który za nic nie chciał przyjść na świat, jakby wiedział, że nic dobrego go na nim nie spotka. Sama scena narodzin jest przedstawiona z iście czeskim humorem. Otóż jest zima, na zimnej kuchni siedzi ojciec mającego narodzić się bohatera, toteż nie można rozpalić ognia. Prośby służącej puszczają mimo uszu i już trzeci dzień siedzi tak z kotką Čičą (która odegra w powieści istotną rolę) i gra na oboju prostą melodię. Będzie ją grał także później, kiedy narodzony już syn i żona będą go raz do roku odwiedzać w zakładzie psychiatrycznym. Jego choroba jest raczej ucieczką do innego, spokojnego świata, w którym wszystko jest przewidywalne.

Ale wracając do sceny porodu, jest ona iście dantejska. „Nieurodek”, jak go określa narrator, protestuje i walczy, szarpiąc się tak skutecznie, że doktora odrzuca daleko. Z sypialni, gdzie rozgrywa się akcja porodowa, poprzez obszerną sień, wpada do kuchni, otwierając w ten sposób drogę

Pastuchom, złym duchom (tekst melodii) do łona rodzącej oraz do nienarodzonych jeszcze uszu Václava Netušila, który zdecydowanie opierał się naciskom.

Ale ponieważ walka otumania i czyni z istoty rozumnej nieomal szaleńca, doktor nie daje za wygraną i nie przyjmuje argumentów malca przeciw narodzinom, które w

innych okolicznościach może by do niego dotarły. I mimo że Václav bił się o nieżycie – o prawo do nieistnienia, przegrał z kretesem i wydał ostatecznie „pełen bólu krzyk człowieka skazanego na życie”, zagłuszając nim nawet monotonne dźwięki oboju.

Dlaczego narrator zdecydował się uczynić go bohaterem swojej opowieści? Otóż dlatego, że – jak mówi wprost – „stał mu się bliski w nieprzychylnych czasach, ponieważ był światełkiem w mroku”... Václav Netušil to inna twarz Wieńczysława Pawia oraz – jak się okaże na końcu powieści... Nie, nie zdradzę zakończenia!

Wędrowki rowerem dookoła świata

Powieść Binara ma szkatułkową strukturę, w obrębie której znajdziemy opowieści kilku narratorów, w tym historię samego pisarza, ale najciekawsze są fragmenty rękopisu Pawia. Choć narratorzy mają różne doświadczenia życiowe, opowiadają różnymi (w sensie stylistycznym) językami, to łączy ich jedno: próbują opisać opresyjny, komunistyczny świat, którego *de facto* opisać się nie da, tak jest absurdalny. Chłopczyk „z dobrej rodziny”, w marynarskim ubranku, dorastający w dostatku, choć bez ojca, musiał jakoś sobie poradzić w świecie, w którym można było „za nic” znaleźć się w więzieniu, gdzie poddawano delikwentów psychologicznej i fizycznej „obróbce”, zaś na wolności alternatywą było wojsko, a następnie praca w kopalni. Studia – tylko w przypadku odpracowania „na dole” kilku

lat, a w praktyce – gdy podpisało się zgodę na współpracę z tajnymi służbami. A jednak niektórzy akceptowali ten stan rzeczy i próbowali się dostosować i „urządzić”. Na Nowej Fajderlandii (nazwa znacząca) ludzie mieszkają w okropnych warunkach, w malutkich mieszkaniach. Mężczyźni są impotentami i siedzą całymi



dniami w kuchni jedząc różne wzdymające pokarmy. Ubrani w tzw. pierdzistry, „produkują” gaz i dostarczają go do wiatrowni, a ta przerabia go na energię elektryczną. Wieńczysław Paw – podróżnik i badacz obcych kultur postanawia opisać także i to ciekawe doświadczenie. Dodajmy, że na Nowej Fajdlandii panuje system totalitarny. Obywateli pilnują urzędnicy Głównego Urzędu Wewnętrznej Naprawy, zwanego w skrócie G UWNO.

Václava Netušila żywot podwójny

Kiedy Václav Netušil nie jest Wieńczysławem Pawiem, dopada go rzeczywistość o wiele gorsza, niż przygody na obcej ziemi, choćby była nią Fajdlandia. Więziony, nakłaniany do współpracy, gwałcony i zamykany w karcerze, w końcu godzi się na współpracę i pisze taki oto autodonos:

Osadzony Netušil Václav, numer 08157 5288, prowadzi przygotowania do ucieczki z więzienia. W tak zwanym czasie wolnym prowadzi rozmowy z gołębiami zamieszkującymi dachy zakładu karnego na Borach, będącymi własnością socjalistycznego państwa i namawia je do współudziału w czynie przestępczym, tj. opuszczenia wraz nim miejsca odbywania przezeń kary. (...) O swoich planach opowiedział oswojonej myszy Krystynie, zamieszkującej warsztat, z którą utrzymuje kontakty, wbrew postanowieniom regulaminu. Wspomnianej Krystynie obiecał, że zabierze ją ze sobą, jeżeli ta nauczy się służyć, czyli siedzieć na tylnych łapkach, machając przednimi.

Przytoczyłam ten obszerny fragment nie tylko po to, aby przyszedł czytelnik powieści mógł uchwycić ten rodzaj humoru, który jest charakterystyczny dla całej tej powieści. Chodzi o coś więcej: absurdu nie da się opisać inaczej, jak właśnie językiem absurdu, nie ma w nim bowiem żadnej ludzkiej logiki. Nieludzki świat rządzi się swoimi prawami, których pojąć nie sposób. Niekiedy brakuje jednak słów, aby go opisać i w takiej sytuacji autor tworzy nowe słowa, jak choćby wspomniany już „pierdzistry” (połączenie kanistrów z pierdzeniem) czy „pszczowa” (kontaminacja pszczoły i krowy). Tym większe uznanie należy się tłumaczce tej niełatwej prozy, Dorocie Dobrew, która stworzyła w języku polskim stosowne odpowiedniki.

Śmierć bohatera

Śmierć Wieńczysława Pawia vel Václava Netušila jest czymś, co musi nastąpić. Na koniec przyznaje, że jego wędrówka była ucieczką przed tzw. rzeczywistością i przed sobą. Nie żałuje życia – nareszcie zazna spokoju. Ale pomimo to – już pod postacią pięknego motyla: rusałki żałobnika – nadal poszukuje odpowiedzi na dręczące go pytania. Chce je zadać swojemu „osobistemu upiorowi” – oficerowi SB:

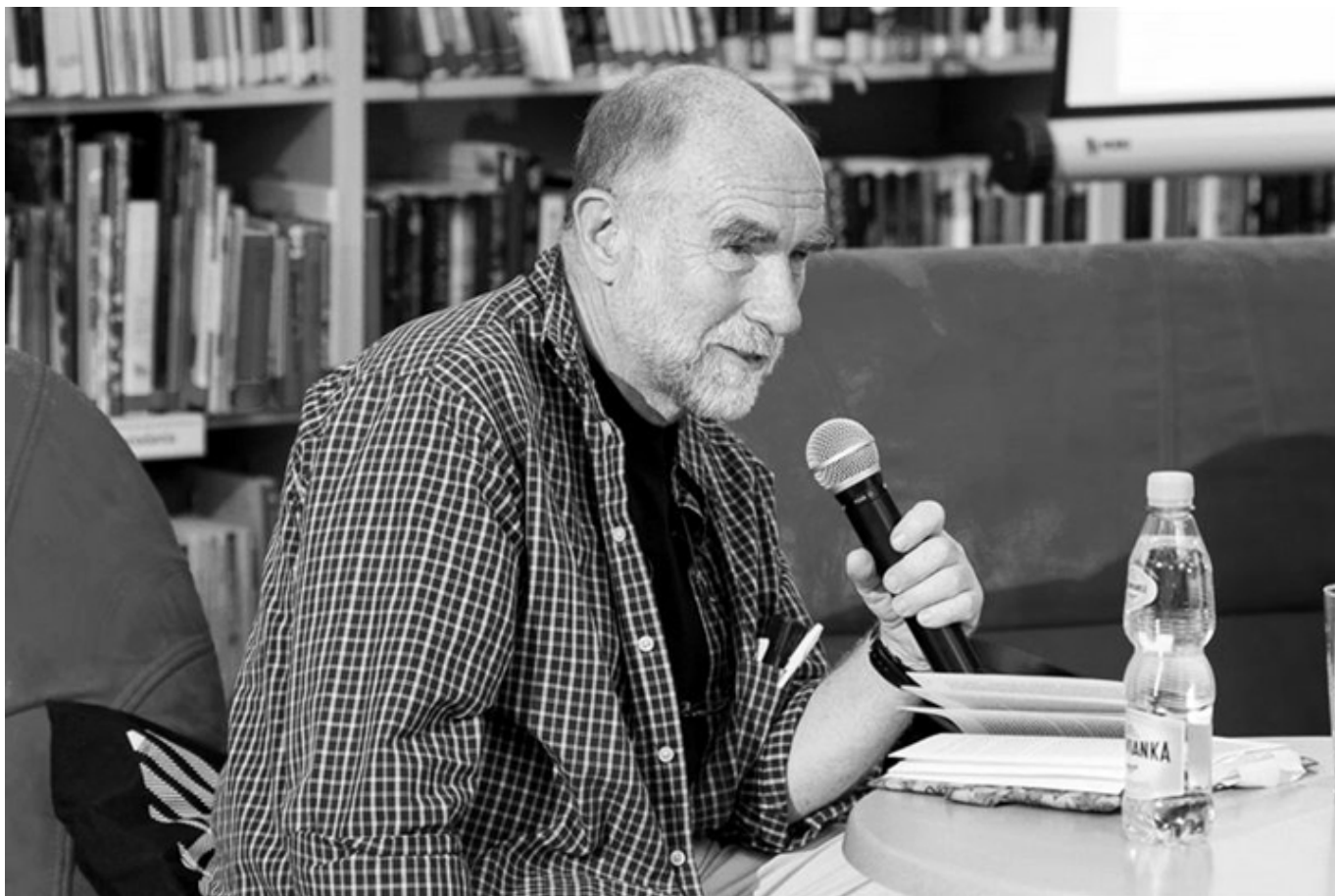
Co dobrego mogło wyniknąć z łamania ludziom charakterów, z manipulowania nimi, z prześladowania ich i niszczenia? Jaki sens miało krzywdzenie bliźnich, na co się to komu zdało?

Zamiast odpowiedzi spada na motyla miażdżąca łapa przedstawiciela tajnych służb i dusza nieszczęśnika rusza w dalszą drogę przy dźwiękach znanej od dnia narodzin melodii: „Pastuchy, złe duchy, wyście naszą wykę, wyście naszą grykę wypaśli...”.

Powieść Ivana Binara „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi. Próba opisu tego absurdalnego świata, poprzez różne narracje, pozwala wnikać w mechanizmy nim rządzące i zrozumieć ogrom krzywd, które wyrządzono zupełnie niewinnym ludziom, nigdy im niczego nie rekompensując ani nawet nie ujawniając całej prawdy.

*Czekałem na to – pisze z goryczą autor, który poznał wprawdzie listę donosicieli, ale też odkrył, że wiele dokumentów „zaginęło” – aż nowi, prawdziwi przedstawiciele narodu, wybrani w wolnych wyborach, odkryją prawdę, bo **bez prawdy nie istnieje sprawiedliwe, demokratyczne społeczeństwo**. Winnych trzeba wymienić z nazwiska, dopiero potem można odpuszczać winy.*

Powieść Ivana Binara: „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” ukazała się w Wydawnictwie Amaltea, w przekładzie Doroty Dobrew.



Ivan Binar, fot. kukatko.pl

Ivan Binar

Urodzony w 1942 w Boskovicach. Ukończył filologię czeską, historię oraz wychowanie plastyczne w Instytucie Pedagogiki w Ostrawie. Pracował jako nauczyciel, redaktor naczelny czasopisma Tramp i współpracował z teatrem. W latach 1971-1973 był więziony za podżeganie do buntu. W 1977 roku wyemigrował do Wiednia, gdzie utrzymywał się pracując jako tłumacz i konserwator ceramiki. Po sześciu latach przeniósł się do Monachium, gdzie pracował w redakcji Wolnej Europy. W 1994 roku wrócił do Pragi. Jest autorem czternastu książek. Pisze książki dla dzieci (ostatnio „Królik Fiala“, 2012) oraz dla dorosłych („Tylko smuga na niebie“, 2013).

www.kukatko.pl